NUMER 47. DNIA 23-go LISTOPADA 1902 ROKU ROK X

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

Ks. KAROL HRYNIEWICKI.

W 35. ROCZNICĘ ŚWIĘCEŃ KAPŁAŃSKICH.

(Dokończenie).

W lecie roku 1890 stanął biskup-wygnaniec w Podwołoczyskach — na ziemi galicyjskiej. Był to właśnie czas, kiedy cień Agenora hr. Gołuchowskiego urastał już zwolna w spiżowe kształty, a posiew jego niósł dla arystokracji galicyjskiej ziarno potęgi i władzy. To też obawa uronienia czegokolwiek z świeżych przywilejów jeżyła włos ze strachu przed pozorami nawet nieprawomyślności, lub rewolucyjnych wspomnień.

W takiej chwili był ks. Hryniewicki jak najmniej pożądanym gościem na gruncie galicyjskim. Prześladowany za nieugięte stanowisko w obronie praw narodu i kościoła, wygnaniec, jak z jednej strony był głosem krzywdy narodu, tak znowu ze strony drugiej wyrzutem sumienia dla tych, którzy w tak strasznych czasach mieli odwagę głosić dogmat trójlojalizmu. Równocześnie zaś przyjazd ks. Hryniewickiego mógł się stać tryumfalnym pochodem, dać powód do poważnych manifestacji narodowych, które znowu rządowi austrjackiemu bardzo by były nie na rękę.

W dobrym bycie zgnuśniałe sfery niechętnem więc okiem patrzały na intruza, który ich budził ze snu słodkiego, a na powitanie męczennika, miały tylko niechętne ściśnienie ramion:

— Nie umiał swego stanowiska uszanować!

On — ks. Hryniewicki — swego stanowiska nie uszanował! On, biskup nieugięty, on, co w tak strasznych warunkach umiał utrzymać godność własną i godność swojego narodu — on, co się żadnych nie uląkł prześladowań, ten człowiek czysty jak kryształ, i niezłomny — „stanowiska“ swego uszanowac nie umiał!

Pewnie, że pełzanie przed siłą, przyniosłoby mu znaczenie, bogactwa i tytuł, ale to właśnie szczęście dla naszego narodu, to duma dla nas i nadzieja, że ks. Hryniewicki stanowiska swego nie uszanował! Trójlojalistów władza i potęga przejdzie jak straszna mara Targowicy, ale za to czyn ks. Hryniewickiego zostanie na zawsze jedną z pięknych kart w dziejach naszego narodu.

Na dworcu w Podwołoczyskach oczekiwał już ks. Hryniewickiego komisarz policyjny Sobota. Schorzały, prześladowaniem znękany ks. biskup wileński, doznał tu zaraz pierwszych goryczy tułaczego żywota, bo oto wręczono mu tajną instrukcję od śp. kardynała Albina Dunajewskiego, w której stańczykowstwo dosadny znalazło wyraz. Księdzu Hryniewickiemu odmawiano pobytu w Galicji — miał w największej cichości przejechać przez kraj i udać się na resztę żywota na tułaczkę wśród obcych. Jechał więc wygnaniec w największej tajemnicy przez część ziemi polskiej

niby to w morzu konstytucyjnych wolności się pławiącej, jechał niepoznany przez swoich, dla których ostoją był i mocą i świętym przykładem. We Lwowie wręczono mu dokumenta legitymacyjne, złożone przez rząd rosyjski w namiestnictwie; w Krakowie, gdzie się ks. arcybiskup chwilowo zatrzymał, otoczyła go czujnem swem okiem policja. Kardynał Dunajewski nie chciał przyjąć jego wizyty, inni członkowie krakowskiej arystokracji stykali się z wygnańcem niechętnie, zimno, dając mu do poznania, że co prędzej wyjechać powinien. Jedynie wśród kobiet arystokratycznych więcej znalazł ks. Hryniewicki serca, więcej wyrozumiałości na to... że swego „stanowiska uszanować nie umiał!"

Ze ściśnionem sercem, a z przebaczeniem na ustach dla małodusznych, wyjechał ks. Hryniewicki z Krakowa i udał się do Rzymu. Należało bowiem zanieść jęk narodu katolickiego, prześladowanego do stóp stolicy apostolskiej i szukać w niej pociechy przynajmniej, jeżeli już nie ratunku. Ale i tam nie był wygnaniec pożądanym gościem. Uprzedzony bowiem o jego przybyciu papieski sekretarz stanu, kardynał Rampolla, czekał ks. Hryniewickiego na dworcu kolejowym, aby mu powiedzieć, że odbywające się właśnie układy Watykanu z Rosją doznać mogą, skutkiem jego obecności, przeszkody... że więc należy czemprędzej wyjechać.

Zaraz więc z dworca kolejowego zawrócił ks. Hryniewicki i wyjechał wprost do Francji, gdzie jednak rząd francuski oświadczył mu kategorycznie, że na długi tam pobyt liczyć nie może a zresztą „awanturników" polskich rząd wcale u siebie przechowywać nie myśli.

Tymczasem układy stolicy papieskiej z Rosją były już na ukończeniu. Rząd rosyjski okazał swą „wspaniałomyślnośc" i w „drodze łaski" ofiarował wygnańcowi pensję w kwocie 1500 rubli rocznie, z tem jednakowoż zastrzeżeniem, że ks. Hryniewicki ma wnieść odpowiednie podanie do tronu carskiego. Kardynał Rampolla radził brać to, co rząd rosyjski po dobrej woli daje i nie rozdrażniać go jeszcze bardziej. Oświadczyl jednak na to ks. Hryniewicki, że łaski rosyjskiej nie potrzebuje i choćby miał życie swoje wieść w największej nędzy, żadnego zasiłku stamtąd nie przyjmie. Wróci, nie zważając na nic, do swoich, do Galicji, a tam mu zginąć przecież nie dadzą.

Kardynał Rampolla wzruszył ramionami, papież ozdobił wygnańca tytułem arcybiskupa *ad honores* i ks. Hryniewicki wrócił do Galicji.

Nie było rady. Wzbronić wygnańcowi pobytu w kraju konstytucyjnym nie podobna, tembardziej że społeczeństwo polskie przyjmowało gościa miłego z największą czcią i szacunkiem. Hr. Kazimierz Badeni, ówczesny namiestnik, znalazł się w kłopocie, gdyż ks. arcybiskup wniósł po wszelkiej formie podanie o nadanie mu obywatelstwa austrjackiego, a równocześnie mnożyć się poczęły z żywiołową siłą objawy sympatji dla wielkiego męża, ze strony biednego, ale zawsze szlachetnego społeczeństwa. Z załatwieniem podania zwlekano długo — robiono trudności z tego rzekomo powodu, że ks. arcybiskup nie może się wykazać dostatecznymi środkami utrzymania(!) a równośnie starano się wszelkimi sposobami uniemożliwić mu zetknięcie się z publicznością polską.

Ks. arcybiskup jednak ostentacji żadnej ani parady nie szukał. Skromny zawsze, z powodu spełnionego obowiązku ani chwały ludzkiej, ani dowodów uznania nie chciał. Nawet przysługujący mu strój fioletowy zarzucił i krzyża złocistego nie nosił, nie chcąc żadnej na siebie zwracać uwagi. Mimo to jednak nie mógł uniknąć objawów czci i przywiązania, któremi go powszechnie otaczano i za to też zdarzało się nieraz, że młodzi koncypiści starostw z wyższego nakazu zwracali mu grzecznie, ale stanowczo uwagę, aby ze względu na spokój publiczny, o ile możności nigdzie nie jeździł.

Razu pewnego naprzykład w drodze do klasztoru w Podkamieniu, wysiadł ks. arcybiskup na dworcu kolejowym w Brodach, cichy jak zawsze i jak zawsze, z zachowaniem zupełnego *incognito.* Słota panowała wówczas od kilku dni, rozmokłe drogi galicyjskie uniemożliwiały wprost wszelką komunikację. Mimo to jednak wieść o przyjeździe ks. arcybiskupa rozbiegła się jakoś po mieście, a za chwilę mimo niepogody publiczność brodzka pospieszyła na dworzec, aby wygnańcowi złożyć hołd. Z rozrzewnieniem garnęły się tłumy do stóp wygnańca, o[illegible]zykiem go witając serdecznym i miłością. Otulony w czarną sutannę, a pomny nakazu, ks. arcybiskup kilkoma tylko słowy odpowiedział na te objawy czci i wsiadł natychmiast do skromnej dryndulki, która go odwiozła do klasztoru. Mimo to na drugi dzień zjawił się u niego urzędnik starostwa z... uwagami.

Ostatecznie po długich korowodach i po zagrożeniu, że ks. Hryniewicki pojedzie do Wiednia na audjencję u cesarza, otrzymał on obywatelstwo austrjackie z równoczesną nominacją na proboszcza w Tuchowie. Kurja rzymska była wprawdzie zdania, że ks. arcybiskupowi należała by się raczej jakaś kanonja, ale żadna wówczas nie wakowała.

Probostwo w Tuchowie uchodzi za jedno z bogatszych i większych, ale gdy je ks. Hryniewicki obejmował, znajdowało się w stanie zupełnego wyniszczenia i upadku. Ks. arcybiskup zabrał się ze zwykłą energją do dziela, a rozpoczął od starań o szkołę, której pomieszczenie urągało wprost wszelkim pojęciom pedagogicznym. W ogóle pobyt ks. Hryniewickiego w Tuchowie nie był wcale różami usłany — brakło mu nawet przyzwoitego utrzymania. Urząd podatkowy wyciskać począł zaległości, rząd kazał proboszczowi egzekwować nie płacących czynszu dzierżawców, czego ks. Hryniewicki naturalnie uczynić nie chciał, a wśród tego wszystkiego zawakowała wreszcie kanonja przy katedrze lwowskiej, którą mu ofiarowano.

Trzydziesta piąta rocznica święceń kapłańskich zastaje więc ks. arcybiskupa Hryniewickiego na stanowisku kanonika kapituły lwowskiej. Mimo wieku podeszłego, a zwłaszcza uciążliwej choroby, która go na długi czas złożyła na łoże boleści, zachował ks. arcybiskup iście młodzieńczą żywość, która w połączeniu z powagą i doświadczeniem męża świątobliwego, czyni zeń postać, niezwykłą i charakterystyczną, że w dzisiejszych czasach już takiej nie spotkać.

W szlachetnych rysach twarzy tyle się zawarło mocy charakteru, siły woli, a równocześnie dobroci i pokoju, że twarz ta, jakby ze starego jakiegoś obraza wykrojoną się zdaje, tak jakby z niej niedzisiejsza już biła potęga, a moc z marmuru wykuta.

A gdy się twarz owa tchnieniem wspomnień gorących ożywi, to orlego ona nabiera wyrazu. Słowo grzmotem nieledwie się staje a za niem czuć czynu piorun i błysk stali i wiarę, której nic ugiąć nie zdoła.

Jakiś majestat od całej tej wieje postaci, a równocześnie i słodycz spiewnym litewskim akcentem na słuchacza płynie, tak, że on cały niebawem się znajdzie pod czarem męża owego i słuchałby słów jego, jak złotej tablicy napisu.

A słowa te zawsze rzeźwiące, ufności pełne i wiary w przyszłość narodu. Tam zniechęcenia nie znać, ni bolesnego żywota doświadczeń, ani polityki wielkiej manowców. Proste słowa, ale takie, żeby je ryć tylko w kamieniu można.

W skromnem żyjąc otoczeniu, na skromnem stosunkowo stanowisku, nie uchyla się ks. Hryniewicki od żadnej pracy obywatelskiej lub pasterskiej. Znają go szerokie koła lwowskiej publiczności, zna go też prowincja, dokąd dąży nieraz z pociechą, błogosławieństwem i bierzmowaniem.

Oby ta praca umiłowanego pasterza w najdłuższe lata niosła społeczeństwu naszemu owoc zbożny, lepszej przyszłości nadzieję, a przedewszystkiem przykład mocy, wytrwania i poświęcenia, którego ks. arcybiskup Hryniewicki tak wspaniałe dał w życiu swojem dowody.

Siłą od swojej djecezji oderwany — od Litwy, która go tak bardzo ukochała, niechże między nami znajdzie powszechną miłość za trud i pracę swojego żywota, niech mu ta miłość naszego społeczeństwa wynagrodzi przykrości, którymi go czas straszny, co i nas wszystkich jednako gniecie — napoił.

Fr. Jaworski.



Stanisław Moniuszko.

(W TRZYDZIESTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI.)

(Dokończenie).

Ile zaś prawdy jest w twierdzenniu Walickiego, że Moniuszko nawet w rękopisie nie puścił w świat żadnej kompozycji, przekonać się można z następującej recenzji, umieszczonej w r. 1838-ym w Tygodniku literackim w Poznaniu (w skróceniu).

„Z prawdziwą przyjemnością donosimy o tych pieśniach (Berlin, Bote und Bock, słowa Mickiewicza, tłómaczenie niemieckie Blankenseego) jednego z młodych kompozytorów, w którym miło nam poznać utalentowanego kompozytora śpiewu, jakich dotąd prawie nie posiadamy. Dziwną jest rzeczą, że naród nasz, tak powszechnie lubiący śpiewać, nie wykształcił i nie wykształca tego najpiękniejszego dziecka muzyki i poezji — śpiewu.

A jednak nasze piosnki ludu tak piękny, tak wzniosły podają umnikowi muzykalnemu materjał do tworzenia dzieł polskich. Cóż Niemcy nie utworzyli ze swych piosnek, cóżbyśmy stworzyć nie mogli z naszych piosnek narodowych? Dotąd jednak prawie żadnych w wyższym rodzaju śpiewów nie mamy, wszystkie nasze pieśni są albo czystem naśladowaniem muzyki włoskiej, tej muzyki, że tak powiem bez umu, do zmysłów nie zaś do serca przypadającej; albo błahemi mazurkami; kilka śpiewów Kurpińskiego, Lipińskiego, Chopina i niektóre Nowakowskiego, oto nasza literatura muzyczna śpiewów. Cieszyć się więc potrzeba, że p. Moniuszko, jak się nam zdaje temu rodzajowi kompozycji wyłącznie się oddaje“.

Ta pierwsza, bardzo pochlebna recenzja o pieśniach Moniuszki, choć nie podpisana, każe się domyślać jakiegoś muzyka fachowego, kończy się zaś następującą uwagą:

„Niektóre przejścia możeby Rellstab lub Fink podkreślił, lecz pewni jesteśmy, żeby ją Robert Schumann pochwalił“.

Tymczasem w tym samym roku 1838-ym znajdujemy w lipskiej Allgemeine musikalische Ztg. następującą recenzję owego surowego Finka:

„Polskie pieśni p. Moniuszki wydane są z niemieckim tekstem. Są to pieśni miłosne, które w słowie i tonie mają coś narodowego, co się w muzyce doskonale w dwóch ostatnich przez niespokojną modulację wypowiada, która odznacza się wielką stanowczością i pewnością, co piosnkom nadaje szczególny wdzięk“.

Artykuł Tygodnika literackiego powtórzyło czasopismo wileńskie, wychodzące p. t. Wizerunki i roztrząsania naukowe w tomiku II z roku 1839-go dadając kilka interesujących, nieznanych dotąd szczegółów, które świadczą, że trzy pieśni nie były jedyną pracą, z którą Moniuszko wystąpił przed ukończeniem studjów.

„P. Moniuszko, oddając hołd należny pracom i zasługom w dziełach muzyki p. Elsnerowi, o którego oratorjum, wykonywanem w Wilnie pod dyrekcją samego autora, w Kurjerze litewskim obszerną mieliśmy wiadomość, złożył temuż p. Elsnerowi kwartet swojej kompozycji, dotąd jeszcze w rękopiśmie będący. Dorobił potem muzykę do komedji-opery „Nocleg w Apeninach“, przez Al. hr. Fredrę napisanej i egzekwowanej na teatrze wileńskim przez artystów polskich, a mile od publiczności przyjętej. Skromność kompozytora i małe przywiązanie wagi do tej

pracy nie dozwoliły mu położyć przy niej swego imienia, jakkolwiek prawdziwi znawcy z rozkoszą przysłuchiwali się temu utworowi. Dalej napisał muzykę do mszy, która d. 12-go listopada na uroczystość Opieki N. P. Marji Ostrobramskiej w kościele ks. ks. karmelitów, przy celebrowaniu przez samego djecezjalnego biskupa, po większej części przez amatorów odegraną była.

Pośpiech i brak czasu w wyuczeniu się należytem i nadzwyczajna szczupłość chóru tak, że orkiestra była rozdzieloną na dwie części, jedna drugiej dobrze słyszeć nie mogące, sprawiły, że egzekucja mszy tej nie odpowiedziała oczekiwaniu samego kompozytora, czem powodowani artyści, ceniąc wysokość talentu młodego autora, postanowili z własnego natchnienia, późniejszem wypracowaniem i dobraniem obszerniejszego kościoła i dogodniejszego chóru oddać tę mszę należycie. Jakoż na dniu 26-ym listopada w kościele św. Jana przy gorliwem staraniu szanownego dziekana ks. Meunné i przy pomocy głosu znanej już chlubnie u nas przedtem Brodowiczowej, dziś Skibińskiej, msza ta zaspokoiła tą razą i samego autora, i nader licznie zebranych słuchaczy, z rozkoszą postrzegających w ziomku swoim talent nader świetne nadal rokujący nadzieje.

Do lżejszych utworów tu wyszłych dodaćby można śpiew do wiersza Chochlika, także bezimiennie wydany, którego muzyka lekka, wesoła, pełna swobody zupełnie i miarom wiersza, i jego duchowi odpowiada.“

Nietylko pieśń jednak, ale i opera nie wyszła jeszcze z powijaków w czasie wystąpienia Moniuszki, w których się od narodzin swoich, t. j. od blizko 70 lat istnienia, znajdowała.

Podtrzymywana z początku ojcowską pieczołowitością Wojciecha Bogusławskiego, nie mogła stanąć pewnie na nogach, bo późniejsi kompozytorowie albo, jako cudzoziemcy, nie wżyli sią w muzykę polską, jak Stefani, Elsner, albo nawskroś przesiąknięci byli mieszaniną włosko-francuską, okraszoną rytmem poloneza i mazura. Wśród tego ziemia nasza wydaje dwóch pieśniarzy — jednego smętnego zasłuchanego w melodje zaświatowe, drugiego, który trzymając dłoń na tętnicy pełnego życia, wplata je w tony swych pieśni, którego uśmiech ma zadumany wyraz. Ale ten pierwszy to arystokrata ducha, który nie troszczy się o to, czy będzie słuchany, kto go będzie słuchał, lub czy go ktoś zrozumie — więc temu drugiemu przypadło w udziale przemówić do wszystkich.

Dla wszystkich – oto najważniejsza cecha, różniąca obu, a zarazem jeden z głównych tytułów do wielkości Moniuszki i przyczyna, dla której Moniuszko o tyle ważniejsze ma dla nas znaczenie społeczne, niż Chopin. Fortepian bowiem, którego duszą jest Chopin, pomimo swego rozpowszechnienia, nie sięga ani tak daleko i szeroko, ani tak bezpośrednio, jak żywe słowo, które jest wyłącznem polem działania Moniuszki.

Interesujące są szczegóły, które rzucają światło na to, jak Moniuszko sam pojmował swój stosunek do Chopina. Mianowicie w zeszycie IV-ym „Pamiętnika literackiego“, wydawanego przez Podbereskiego w Wilnie, z r. 1850, znajduje się w liście p. Zofji z Brzozówki następujący charakterystyczny ustęp:

„Prenumeruję „Bibljotekę warszawską“, kwiatem jej jest artykuł o zmarłym Chopinie, — tyle łez autora padło na mogiłę zmarłego, którychbyśmy wylewać nie przestali w krynicę wiecznego żalu, gdyby nas nie koił w bolach swym śpiewem Moniuszko“.

Na ten ustęp oburzyła się „Gazeta warszawska“ w Nr. 276 z 19/10 1850 r.

„Mówiąc o „Bibljotece warszawskiej“ z niewielkiem zadowoleniem, ma p. Zofja zdaje się za złe artykuł o Chopinie, że zbyt gorzkie po nim łzy wylewa, sama zaś czuje się po stracie największego ze współczesnych kompozytorów pocieszona śpiewami Moniuszki. Nie odejmujemy p. M. prawa do współczucia ziomków i do sławy, której słusznie już talent jego się dobił, ale pozwoli pani Zofja z Bzozówki, że kiedy się mówi o Chopinie i o stracie jego dla nas, jako kompozytora, nie można się tak łatwo pocieszyć. Podług nas, a sądzę, że opinji tej nieprędko kto zaprzeczy, gdybyśmy nawet, tracąc talent tak olbrzymi jak Chopina, Meyerbeerem pocieszyć się mogli, jeszczebyśmy zupełnie pocieszeni nie byli. Po Meyerbeerze cóż mówić o Moniuszce!“

Cytuję te słowa nietylko jako charakterystyczny przyczynek do zbioru najróżnorodniejszych opinji współczesnych o Moniuszce, nietylko jako gorzki wyrzut za lekceważenie tego co swojskie, wyrzut, który, kto wie, czy i dzisiaj nie mógłby znaleźć zastosowania, gdybyśmy się sumiennie

w piersi uderzyli, ale przedewszystkiem dlatego, że artykuł ten wywołał wyżej wspomniane zapatrywanie Moniuszki na stosunek do Chopina w liście do Józefa Sikorskiego, pisanym z Wilna d. 23-go grudnia 1850 r.

„Czyś czytał w „Gazecie warszawskiej“ artykuł o „Pamiętniku literackim“, jak tu głoszą, ręki Karola Wittego, a w nim sromotną o mnie wzmiankę? Sromotną powiadam dla piszącego, na którego niełaskę niczem zasłużyć nie mogłem, bo, że ktoś jest tyle głupi, aby się mną po stracie Chopina mógł pocieszać, to nie moja wina i nigdy siebie nie stawiłem obok jakiejkolwiek uprawnionej osobistości europejskiej, cóż mówić o Chopinie, dla którego w uwielbieniu nie mam granic! Wykazywać wartość małą mojej muzyki w porównaniu z Meyerbeerem, także nie miejsce tu było, bo Meyerbeer pracuje dla teatru paryskiego, a ja dla domowego użytku, pole, jak każdy przyzna, na którem trudno się rozpędzić.

Żarty autora artykułu są jeszcze jednem bolesnem przeświadczeniem, jak łacno, bez najmniejszego zastanowienia, nasze trudy bez zachęty, bez nagrody, bez współczucia... i jeszcze dla lada chętki zaświecenia dowcipem publicznie i drukowano rzucają się sponiewierane czytającym, którzy ani mnie, ani mojej muzyki nie znając, prawdzie słów czytanych przeczyć nie mogą. Zresztą skąd autor artykułu tak śmiało wyrokuje o moich zdolnościach? Cóż zna z prac moich? Czy nie mój śpiewnik, czy nie „Loterję“? O tych dawno zapomniałem — a może czytając partyturę „Halki“, ocenił jej wartość? Nic z tego, jest to tyrada napisana bez żadnego, jak powiedziałem, zastanowienia, bo mając wykazać niedorzeczność p. Zofji z Brzozówki, dotyka mnie najboleśniej i najosobiściej. Miałżeby autor artykułu mierzyć zdolności rozgłosem dzieł? Czyżby tak był głupi?!! Nie śpiesz z artykułami o „Halce“ i innych rzeczach. Niech sobie nasza muzyka wyżłabia korytko niewielkie i czyste, z którego zaczerpnie i pokrzepi się poczciwa jaka dusza, a tylko nierogacizna z pogardą jego brzeg pominie, do rozleglejszej śpiesząc kałuży!“

Puścizna po Moniuszce jest bardzo obfita, prawie wyłącznie jednak ogranicza się w zupełnem przeciwieństwie do Chopina, do muzyki wokalnej.

A więc pieśń, tak świecka, jak religijna, opera, kantaty świeckie i muzyka kościelna. Jedyna kompozycja czysto orkiestrowa, jaka się dochowała, to jest „Bajka“ (wobec zaginienia dwóch innych: „Śmierć Abla“ i „Uwertura wojenna“), tak ze względu na swoje odosobnienie, jak na niezbyt wysoką wartość, nawet w porównaniu z uwerturami operowemi lub wstępami do kantat, stanowi tylko dowód, że choć Moniuszko skłonnościami swojemi był bardzo daleki od muzyki programowej, był indywidualnością muzykalną tego rodzaju, która czerpie natchnienie muzyczne z tekstu i na nim opierać się musi.

Wskutek tego i wskutek natury jego nawskroś lirycznej — jak powiedziałem wyżej — w puściźnie pozostałe po Moniuszce największą stosunkowo wartość bezwzględną mają pieśni. Pieśni te, których ilość ogólna dochodzi do 400 podzielić można na balady, pieśni liryczne (poważne), charakterystyczne, humorystyczne, wreszcie ulotne.

Najszersze co do rozmiarów są balady, ale właśnie dlatego nie należą do najlepszych, bo, choć nie pozbawione miejsc szczęśliwych, nie utrzymują się na tej samej wysokości. Najlepsze zaś są pieśni o mniejszych rozmiarach. Najsłabszą ich stroną jest zwykle tekst, bo z jednej strony literatura współczesna nie miała tak rozwiniętej drobnej poezji lirycznej, z drugiej Moniuszko był bardzo w wyborze tekstu niewybredny.

Pieśni te są naprzemian mniej lub więcej stylizowanemi krakowiakami, mazurkami, polonezami lub dumkami. Oprócz tego spotykamy często t. zw. marciale: „Czarny krzyżyk“, „Pieśń rycerska“, „Stary kapral“ i t. d. Śpiewy w takcie $^6/_4$ lub $^{12}|_1$ przedstawiają typ najmniej udatny, („Do Wilji“) trochę suchy i bezbarwny. Widocznie potrzeba mu było wyraźnych rytmów dwudzielnych pochodzenia tanecznego, dlatego też krakowiaki są niezrównane („Wesół i szczęśliwy“, „Na Wawel“, „Wiosna“). Głęboki smutek i rzewność najlepsze ujście znajdują w dumkach („Kozak“, „Dwie zorze“, „Wędrowna ptaszyna“ i t. d.). Z utworów charakterystycznych najlepsze „Maciek“ i „Dziad i baba“ zwłaszcza „Maciek“ przepysznie maluje fantazję chłopską podniecona i szalejącą pod wpływem bolu. Jest to może jedyny utwór Moniuszki o kolorycie ponurym, mieszającym się w całość oryginalną z typowym rytmem krakowiaka.

Najważniejszą zaletą Moniuszki tak w pieś-

niach, jak we wszystkich innych kompozycjach, jest ogromna łatwość melodyjna; strona harmonijna stoi zawsze nierównie niżej. Krój melodji jasny, prosty, tu i owdzie słodyczą przypominający kantylenę włoską, częściej Mendelssohna, miarowemi łukami, dokładnem wykończeniem, unikaniem skoków gwałtownych, nigdzie nie wykazuje pokrewieństwa pomysłów z jakimkolwiek kompozytorem. Tu i owdzie, choć stosunkowo dość rzadko, spotykamy melodję ludową, żywcem wyjętą z ust ludu.

Naturę jego cechuje pogoda, zaduma łagodna, jak gdyby zasłuchanie w tajemniczy szmer gajów litewskich i borów; tu i owdzie drgnie żywiej jakaś struna bolu, jakaś radość poruszy jego duszę, wtedy dzieli się z innymi swojem uczuciem, ale główną wartość widzi w tem aby n a s wciągnąć w słodkie lub bolesne wzruszenia, w swoje przejścia od bolu do radości. Fantazja jego pozbawiona jest tej dążności przedstawiania wszystkiego jako rzeczy — akcji; nawet w operach jest raczej pieśniarzem, niż kompozytorem dramatycznym, prawie zawsze wyżej od numerów zbiorowych stoją numery solowe i te przeważnie są trzymane w formie pieśni.

Po szczegółowem scharakteryzowaniu braków, jakie by ze stanowiska czysto fachowego mógł zarzucić operom Moniuszki dzisiejszy muzyk, pisze p. Zawiłowski, że opery te, pomimo wszystkich braków odskakują wartością olbrzymio od wszystkich oper poprzedników Moniuszki. Powtóre zaś, że wobec bardzo niewielkiej produkcji swojskiej po Moniuszce, opery jego są prawie jedynym pokarmem narodowym na polu muzyki scenicznej, którym się żywi już trzecie pokolenie.

Badając jego kompozycje, widzimy na każdym kroku, że muzyka narodowa potężnie go natchnęła. Natura tego wpływu jest przeważnie rytmiczna i polega w przeważnej części na rytmach tanecznych, które Moniuszko z muzyki narodowej do sztuki wprowadził. Cechy melodyjne i harmoniczne muzyki polskiej wywarły nierównie mniejszy wpływ niż rytmiczne. Ślady zaś starych tonacji kościelnych, które można zauważyć w muzyce ludowej nie odbiły się zupełnie echem w kompozycjach Moniuszki.

Że więc Moniuszko był twórcą narodowym, pomimo wszelkich wpływów, jakie nań działały, nie może być co do tego dwóch zdań. Ilekroć się jednak mówi o Moniuszce, spotyka się dwie krańcowo przeciwne opinje na punkcie tego czy Moniuszko to genjusz, czy też talent.

Zastanowiwszy się nad tem dochodzi p. Zawiłowski do ostatecznego rezultatu, że Moniuszko należał do największych genjuszów z małym talentem.

Indywidualność jego — kończy p. Zawiłowski — nie doszła do takiego spotężnienia, aby wypowiedzieć „siebie" całkowicie i tylko „siebie", ale przedstawia się jako przejaw kilku pierwiastków, z których narodowy najważniejsze zajmuje miejsce. Moniuszko nie znalazł wprawdzie stanowiska w produkcji międzynarodowej, na kartach historji muzyki polskiej ma jednak najpiękniejszą kartę. A jeśli, czego mamy prawo się spodziewać, kiedyś, w przyszłości, hegemonja muzyczna Niemiec, zdobyta przed stupięćdziesięciu laty dostanie się w ręce słowiańskie, to wtedy historja będzie musiała przyznać, że drogę do tego utorował Stanisław Moniuszko.



RAJMUND SCHOLZ.

ZARANIE

wiersz sceniczny, odegrany dnia 13-go lipca 1902 w Brzeżanach podczas obchodu rocznicy Grunwaldzkiej.

(Dokończenie).

DZIEWCZYNA
(chłonąc z wrażenia).

Poszedł!

CHŁOPIEC.

Poszedł!

DZIEWCZYNA.

A więc to nie pora!

CHŁOPIEC.

Jaki wielki, jaki dumny!

DZIEWCZYNA.

Jabym lecieć skora!

CHŁOPIEC
(pod wrażeniem nowej myśli).

Nie! Nie lecieć! Myśmy śnili, snuli sieć pajęczą
I stubarwną pragnień duszy wyszywali tęczę —
Nam nie lecieć w dal błękitów, gdzie w słoneczną [postać
Sen wysnuty się obleka, lecz nam tu pozostać!
(Z lewej z przodu zjawiają się Oświata i Praca).
On, gdy hasło zabrzmi, wróci! — Tak! A choćby [w męce
Dla tych haseł skrwawić serce, skrwawic mózg [i ręce
Wrócić musi!

OŚWIATA.

Krwi dosyć spłynęło i dość serc zakrzepło
W nieme posągi bezsilnej boleści!

PRACA.

Dość doli krwawej, dolę jasną, ciepłą,
Głosimy błoniom szeptem dobrej wieści!
Nie od oręża, lecz od pracy ręka
Niech twardnie pewna swych stalowych splotów.

OŚWIATA.

Duch niechaj nie mrze, serce niech nie pęka,
Lecz niech do wolnych dorastają lotów!

PRACA.

Czoło perłami zroszą święte poty,
Zaskrzypią pługi, skrami zagrzmią młoty
I życie zawrze w ziemi łez mogilnej. —

OŚWIATA.

Przed świtem staniem sercem, myślą silni
I pukać będziem o jutrzenki wrota —

PRACA.

Bo w nas dojrzeje haseł siejba złota
I na dzień wyjdziem z mrocznej prac pochylni!

DZIEWCZYNA.

Mówcie, o mówcie, wy anieli biali!

OŚWIATA.

My pieśń budzimy, niech ją pierś gra dalej!

PRACA.

A niech do taktu wznoszą się ramiona,
Niech iskra święta, co się w piersiach pali,
Piorunem czynu strzela jasnym z łona!

CHŁOPIEC
(z wybuchem).

Powiedźcie, święte — bo ja szukam drogi,
Bo mi się ze snów młoda pierś zbudziła,
Chcę iść, a nie znam szlaków swojej nogi —
Czy zawiedziecie, kędy mieszka siła?
Czyli iść z wami, czyli drogą inną
To serce zajdzie, kędy zajść powinno?

DZIEWCZYNA.

O bo powiedział rycerz nam z mogiły,
Co śpi i czeka, że nam trzeba siły,
A gdy ich ucho siły głos przynęci,
Wyjdą rycerze, wyjdą dumni, święci
I gdzieś ku słońcu pójdą kwietną błonią — —
Prawdaż to, prawda? Dzwony — że zadzwonią
Na one święto?

OŚWIATA.

Dzwony w piersiach ludzi
Ozwać się muszą przyszłych dni nadzieją,
Gdy dźwięczne kruszce w jeden stop się zleją,
Kiedy z osobna każdą pierś rozpali
Praca nad kuciem szlachetnych metali!

PRACA.

U mężów, którym sen mogilny ciąży,
Nietylko mieczów jasnych i pawęży
Szukajcie, dzieci! Przedwiek znów powraca,
Gdzie miecz nie dzwonił, lecz warczała praca.
Szukajcie w księgach mogił a znajdziecie,
Jak serc się miljon w jednej myśli plecie,
Znajdziecie chwile, które głoską złotą
Wpisały dzieje, a świat nazwał cnotą
I niech te głoski powiew z mogił prószy
Do księgi pragnień waszej własnej duszy!

OŚWIATA.

A jeśli plewy w grób zwiał wiew stuleci,
Te plewy przesiać, plewy czyścić, dzieci!

CHŁOPIEC.

A więc pójść z wami tam, gdzie duszę młodą
Wyssane z mlekiem sny przyszłości wiodą.

DZIEWCZYNA.

Na świt promienny i na pieśń przecudną,
Kto raz się zbudził, temu usnąć trudno,
A więc nas wiedźcie!

OŚWIATA.

Chodźcie, chodźcie z nami!
Naprzeciw wyjdą ci, co nam najszczersi.
Coraz promienniej sypać w dusze skrami,
Goręcej będziem budzić serca w piersi!

PRACA.

Tym, co się zbudzą wlejem siły w dłonie
I jako siewcy pójdziem w dal jednacy,
Z kłosów złocisty włożym wian na skronie
I w niebo zagrzmim wrzącą pieśnią pracy!

CHŁOPIEC
(tonem pytania i prośby).

Ale najpierwej pójdziem popod strzechy
Do tych, co potem wrośli do swej roli,
Z krainy ducha przynieść im uśmiechy
I posiać kłosy jakiejś lepszej doli. —

DZIEWCZYNA.

O tam, tam idźmy — zaraz tego rana!
A znajdziem serca, co jak rola czarna
Zdeptana niegdyś ale dziś zorana
Tchnień ciepłych czeka i bujnego ziarna!

PRACA.

Pójdziemy, dzieci! Jam już tam chodziła
I tam ściskałam dłoń zatwardłą w pracy,
Lecz pójdę znowu, by z tej pracy siła
Trysła na wiosnę wydatniejszej płacy!

OŚWIATA.

O ja tam pójdę! Wsiami głos pobieży
Dzwoniący hejnał o odrodzeń wieści,
Bo tam w spowiciu żywy wątek leży,
Z niego snuć trzeba dalszy ciąg powieści!

CHŁOPIEC.

Więc chodźmy, chodźmy!

OŚWIATA.

Ale czy za nami
Tak wszyscy pójdą?

CHŁOPIEC.

Pójdą! W sercu gra mi,
Że myśl z miłości w chmurnych dniach poczęta
Każdego ducha, każdą pierś rozpęta!

(w wizyjnem natchnieniu).

I szumią myśli, huczą piły, młoty,
Pługi serdecznej niecą blask roboty,
W krąg praca w duszach, w ziemi i pod ziemią
Rozbudza serca, które jeszcze drzemią
I pieśń się budzi w ziemi łez mogilnej
Pieśń wielka, święta: Oto myśmy silni!

Chwila natchnionego milczenia — jasność zewsząd napływa — po chwili odzywa się dzwon — za nim inne — dalekie, uroczyste akordy dzwonów — dolatują nie w melodję, lecz echowe akordy powiązane głosy powolne, świąteczne. Twarze Oświaty i Pracy rozpromienia tryumfalny wyraz. — Chłopiec i Dziewczyna pochyleni naprzód słuchają w najwyższem naprężeniu i upojeniu — słowa ciche, urywane — wzrok błądzi w promiennej dali.

CHŁOPIEC.

Dzwony grają — —

DZIEWCZYNA.

głosy drgają — niby serc miljony. —

CHŁOPIEC.

Idą ludzie procesjami — —

DZIEWCZYNA.

ach! od wschodniej strony
Gruz się wali — — męże wstali!!

CHŁOPIEC.

Biją!! biją dzwony!!

DZIEWCZYNA.

Nad doliną — w niebo płyną — —

CHŁOPIEC.

Smuga z skrzydeł wita. —

OŚWIATA.

Dawna — wielkość — wstała — z grobu —

PRACA.

dzień — niezgasły — świta!

DZIEWCZYNA.

O — z kościołów woń się dymi — strugą wnie-[bowziętą —

RYCERZ

(występuje z grobu, wskazując na wschód).

Czas! Już poszli!

CHŁOPIEC

(rzucając się naprzód).

Ach! Ja z nimi!

DZIEWCZYNA

(ze złożonemi rękami i oczyma wzniesionemi postępuje ku przodowi).

Święto! Święto! Święto!

(Zasłona szybko).

Brzeżany, 1. lipca 1902.

24)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Jeden starszy w przejściu między kamieniem i bronzem, grzebiący zmarłe swoje, pozostawił w jeziorach górnej Italji mniej liczne budowle palowe, ubogie w metale bez pewnego kształtu i uwarstwowienia i obsadził w dalszym ciągu całe południe wraz z Sycylją, która od Sculów (żeńców, po słowiańsku sierpów, Serbów) plemieniu około r. 1000 przed Chr. do niej przyszłego imię swoje otrzymała. Drugi zaś, młodszy prąd, należący już do epoki bronzowej, **ciała zmarłych palący,** to są właściwi budowniczowie Terramaricoli, o których mówiliśmy wyżej: oni utworzyli we wschodniej części równiny Padu, ściśle według modły świątyniowej toskańskiej wzniesione palowe mieszkania. na dziś już suchym gruncie, pełne metalu i wskazujące na szybki postęp i ruszyli potem przez Apeniny, aż do zachodnio-środkowej Italji do Rzymu. Te palowe mieszkania, utwory rozwojowe starszych jeziornych budowli, były to czworoboczne ku południowi licem zwrócone, często wałem i rowem otoczone domki. Domki te mające czasem rodzaj utwierdzenia wojennego „ax“, wznosiły się na ruszcie palowym, wbijanym niekiedy według pewnego systemu. Ruszt ten był opatrzony pomostem z klonów, dębów i drzewa kasztanowego. Na pomoście posypanym warstwą piasku stały w porządkowych szeregach, **z chrustu plecione, gliną narzucane, słomą lub trzciną kryte budy**.

Odpadki gospodarskie wskazały na chów bydła, konia, jakoteż na rolnictwo, którego celem było hodowanie pszenicy, lnu, fasoli, tudzież wina. Znaną była tkalnia pierwotnej konstrukcji, także przerabianie skór, koszykarstwo i odlewanie bronzu (Dr. Deecker „Das alte Etrurien, Hellwalds Kulturgeschich. tom II. 64). Tak wyglądała kultura tych palowców, z których wyszło później potężne plemię Rzymian, a której ślady pozostały w Italji aż do dzisiejszych czasów. O Rawennie leżącej w okręgu północno-włoskich

palowych budowli pisze jeszcze bowiem Strabo, że ,,morze blisko, aż do miasta sięgało, a to miasto na palach zbudowane i kanałami jest przerznięte, które albo na mostach przechodzono, albo ną łodziach przepływano" (cyt. u Wirchowa Ethnol. Zeit. Tom. IV. 34). Podobnie do dziś, jak to zresztą każdy wie, jest zbudowaną Wenecja, a model palowej konstrukcji domów weneckich znajduje się w arsenale tamże. Największy znawca historji Rzymu w dziele swojem pierwszorzędnej wagi, tak zaś mówi o starej Romie: ,,Siedem pierścieni, to jest ,,palatium" właściwe, które spadało ku bagnom rozpościerającym się między niem a Kapitolem. ,,Palatium" było najpierwotniejszem mieszkaniem rzymskiej gminy". (Mommsen. Gesch. Roms. tom I.) Wśród tychże bagien osiadło na palowych najprawdopodobniej wzniesieniach, drapieżne plemie ,,Palatynów", skrócone ,,Latynów", plemie pochodzące od Palowców doliny Padu. Ztamtąd, jak z gniazda błotami warownego, wylatywały orły rzymskie na podbój ówczesnego świata. Bagna nie żywią syto nikogo, żywić więc musiał rabunek i zabory ludów, bogactwa, a potem ziemi. Zaś tak, jak lew karmiący się zwierzyną wyrobił ku temu kły, pazury i mięśnie, tak i to plemie Palatynów przez długie pokolenia pożycia na bagnach, wyrobiło sobie kły i pazury drapieżcy społecznego, któremi to kłami są wykształcone ciągłymi napadami i bojami organizacje wojskowe, legiony późniejsze. Pirackie te drużyny wypadały bezustannie z kryjówki, z po za słynnych do dziś istniejących bagien pontyjskich, na spokojnych ,,Siculów", żeńców obściow, polnych robotników (Mommsen) i inne na roli pracujące plemiona. Takimi drapieżcami uczyniła z Normanów później równie nieurodzajna chłodna i skalista ziemia Norwegji, niekorzystne warunki życia bowiem, zespalają ludzi silniej i zmuszają do zbiorowego wydzierania żyjącym w szczęśliwszych i urodzajniejszych okolicach, środków do życia i bogactw nagromadzonych. W walce o byt albo niszczeją organizmy albo wyrabiają w sobie właściwości, których brak jest ludom mającym w bród wszyskiego. Rycerskość, okrucieństwo, odwaga, sztuka wojenna, bezlitość i egoizm zwierzęcy, odznaczają plemiona z rabunku, podboju żyjące i dają im ową materjalną przewagę, której zawdzięczać należy powodzenie w fizycznej walce o byt.

Gniazdem takich rabusiów rzymskich „*Palatinów*", były więc osady zwane „*Pallatium*", a błoto, wbijany pal w dno bagien, pomost z belek, mieszkanie na pomoście, łódź po wijącej się mokrawinie Tybru, wszystko to razem określało domowe życie w zamierzchłej przeszłości. Całość zaś łączyła — w wyobraźni jakby Indyanin powiedział w „ród kosmiczny", klan, którego węzłem było codzienne życie Palatyna, jego czynności, przebywanie, chata, odzienie i wierzenia. Więc w błoto „*palus, paludis*" po łacinie (po fryzyjsku „*palid*", co się utrzymało jeszcze „Palace de la *Palud*" w Lozannie*) (Körting rom. Wörterbuch 639), wbijano pale „*palus*-i" pal, (*palus*-i znaczyło też trzcina, roślinna bagienna używana do pokrywania dachu na *palatium*). Kraj był bagienny „*paludosus*" utwór z palów nazywano „*palitrium*" (po fryzyjsku błoto „*palud*", pal „*palus, pel, piel*", utwór z palów „*pallisado, balise*"). Do palów należący „*palaris*" — łopata albo szufla do wygarniania błota zwała się „*pale-ae* albo *pila-ae*". „*Pello*", bić, tłuc, wbijać pale „*Plaudo*" bić w ziemię nogami (przyklaskiwać). — „*Palation*" nazywano wbijanie palów. — Do pomostu prowadziły schody „*paleärium*". Na palach bowiem był pomost desek, gładki „*planus*", na tej równej powierzchni znajdujący się znaczyło „*planaris*". Sama zaś równina to „*planitia*" — „*Pilatium*" była budowla ze słupami — w formie zaś gołębnika „*palu rubarium*" — w kształcie małego ukrycia lub kryjówki „(pa)*latibulum*", — jeśli zaś oznaczało dom godniejszy to nazywano „*palatium*", — kraj zaś ludu, w „*palatium*" mieszkającego mienił się też „(pa)*Latium*", kraj Palowców (Pa)*Latynów*. Najdawniejsi zaś jeńcy zmuszeni do wbijania palów to upośledzony „*plebs*", słynny z długoletnich sporów ze „szlachtą", patrycjuszami. Nakrycie, pokrycie, początkowo z „*palus*-i" z trzciny uczynione, zwało się „*palium*" to samo zaś z „*pilus*" włosienia, pilśniu zrobione „*Pileus*".

*) Sanskryckie „*palawi*", pierwiastek „*pel*", napełniać, wkładać w coś, wtykać. Gorjajew. Etym. Słowar. 272.

2)

Z Epoki legjonów.

Podała JUSTYNA JASTRZĘBSKA.

List Józefa Wybickiego do Gen. Kniaziewicza z Frankfurtu. (Bez daty.)

Doniósł mi O. Godebski, że swą kwaterę do Munich przenosisz zabiegam Ci drogę odezwą, gdy rąk do Ciebie wyciągnąć, y do serca przycisnąć nie mogę! Ale usta iak pióro więcej niewyrażą, albo rano zamilkną, gdy iak czuje szacunek i przywiązanie do Ciebie wytłumaczyć się nie da. List ostatni, który na ręce O. Godebskiego do Ciebie Generale pisałem zaniósł ci radość przyjaciela, że żyjesz, a Polaka wdzięczność, że mu z waleczną Legiją nową sławę dałeś. Jeżeli współżyjący nie dość nas ocenią, sprawiedliwsza następność zwaszego osądzi męstwa; że nas przemoc mogła pokonać, ale uiarzmić nie potrafi!! Ukochany Generale, co raz powiedziałem, powtarzać nie będę; są to rzeczy, co nawzajem serca rozkwilaią czułe; pytam się tylko teraz ukochany Generale o Twoie zdrowie, y czekam dni kilkunastu, które mi powiedzą, czy Cię będę mógł gdzie w spokoyney kwaterze uściskać, czy znowu beze mnie puidziesz nowe zbierać laury. Wszystko zda się mówić za pokoiem, ale w tych czasiech iak nigdy, żaden dzień nie powie, co będzie iutro. Czekać więc będę dni oznaczonych do pokoiu lub woyny, wtym przeciągu mam prawo sobie podchlebiać że tak długo upragnioną pocieszysz mnie odezwą, y zbliżysz momenta, w których tak byłem szczęśliwy, gdyśmy z sobą rozmawiali wtych czuciach iakie charakteryzują serca siebie godne y iednym sposobem myślenia — zawsze złączone — wyiechałem z Paryża pełen radości bo pełen nadziei z tobą się złączyć, ale niewiedziałem, że los nieprzyiazny na deportacyią mnie skazał. Jey w Frankfurcie doświadczam, szczęśliwy jednak, że wyjechałem z Paryża, ża tu wyjaśnienia się rzeczy obaczę, Ciebie uściskam, y potym gdzie daleko od nieszczęśliwey mey Oyczyzny pomieszkanie czy grób sobie obiorę. Od Legij włoskiej od wyjazdu do Paryża nic nie mam z gazet tylko dowiaduię się, że Generał Dąbrowski komenderuie oblężeniem Peskiery, a z Paryża dawniey mi doniesiono, że adjutant Debowski powiósł chorągwie pod Brescia. — Paryż teraz z Moskwą los świata stanowią. Austryak nie chcąc się w ruinach zagrzebać do tey wyroczni zapewne się przyłączy, reszta Europy ogonem tego ogromnego ciała. Od czasu ucywilizowanego świata polityka nie miała podobnego Areopaga, iusz Jego wyrokom nie masz siły, aby się oparła.

Nasz meter zaniósł do niego także naszę sprawę, ale może Ci doniesiono, że wyrocznia nakazała im milczenie. Przypominam sobie, że Pythis w Delfach nigdy ubogim y nieszczęśliwym nie odpowiadała. Jakkolwiek bądź zawsze za swoją Oyczyzną mówić iest cnotą, wyrodny syn to potwora co matki nie broni, co się iey wyrzeka y upadłey nie płacze! Tośmy wszystko uczynili, zresztą trzeba sobie przypomnieć zdanie mędrca Greckiego qu 'il n ' y a rien de plus sur que la necessité et de plus sage que le ferme.

Zostawmysz Im dokonanie losów naszych, Ja w każdym Twoy do śmierci. Wyb.

List Dąbrowskiego do Wybickiego

z Paryża 3 Nivôse)23/12 Ru 8.

W o l n o ś ć. R ó w n o ś ć.

Odebrałem listy Twoie kochany Przyjacielu nieskończenie zmartwiony iestem, że ani listy moie, ani posłane pieniądze nie doszły rąk Twoich, może że fundusz posłany czeka na Ciebie w Genewie u Bankierów Monnai et Comp, a wyieżdżaiąc do Strasburga nie pozostawiłeś adresu do siebie, trzeba więc abyś się do nich zgłosił. Przyiaźń Twoia iest mi zawsze przytomna, i nigdy spokoynym nie będę kiedy wiedzieć mi nie dasz o obrotach twoich, przekonay się bowiem, że w osobie moiey nie tylko przyjaciela znayduiesz, ale nayprzywiązańszego do Ciebie obywatela. — Pisałem Ci iak znalazłem Bonaparte i ministra woyny, posłałem Ci list pierwszego do mnie pisany, niezawodną mam otuchę, że mi na wszystko skutecznie i pomyślnie odpowiedzą. Czekam wiadomości od Ciebie kochany Przyiacielu, pełen szacunku do Zgonu.

Kufer twoy Naykochańszy Wybicki jest z moiemi rzeczami w Nice u Pflugbeila, a Fedor to wszystko pilnuie, nikt nic wyiąć nie może, będę się starał, aby ten kufer doszedł rąk Twoich. Bądź pewny, że nie będę spokoinim puki się z moim kochanym Wybickim nie obaczę i puki

my razem żyć nie będziemy, lepi dzielić swoy los w kupie iak tak odłączenie.

Adres: An citoyen Wybicki Polonais à Pfaltzbourg.

Kościuszko do Wybickiego:

Paris 24 Ventôse an 9 (12/11 1801).

List twoy Stutgard miałem ukontentowanie odebrać włoska Legia a Milan w ktorey wielkie promocye się porobiły, dwu Bataliony a Florence. O czym więcey nic nie wiem, nie wiem dlaczego druga Legia idzie do Toskanij. Byway zdrów

Kościuszko.

Adres: Citoyen Wybicki à Stutgard (przekreślone) Frankfurth poste restante.

(C. d. n.)

EMMA JELEŃSKA

19)

Z MIŁOŚCI.

Mijały tygodnie i miesiące. Wody rzeki, rwące i wspaniałe na wiosnę, opadły i stały się ciche i senne. Szły węższem już korytem, bez młodzieńczej siły, a w nich odbijało się niebo upalne.

Brzegiem rzeki też szli najczęściej Lutek i Wanda na przechadzkę. Zrzadka przyłączał się do nich Karol. Niekiedy Znajecka zapraszała się do ich towarzystwa. Wanda była z niej rada — ale Lutek miał do niej antypatję. Posiadali oni wspólną właściwość, która uniemożliwiała wszelki między niemi stosunek — oboje potrzebowali mówić o sobie, obojga świat cały, poza swą własną osobą nic a nic nie obchodził. Więc gdy Znajecka zatrzepała, zaszczebiotała, zagadała im nad głową, Lutek wpadał w kwaśne milczenie i zaledwie na pytanie odpowiadał.

— „Cóż to za straszny mruk, ten kuzynek pani!“ rzekła raz Znajecka do Wandy, gdy były same — „nie rozumiem, co pani z nim robić może całemi dniami. A wiecznie razem! Pani od nas ucieka — i zawsze en tête à tête z nim. Nawet Husło żartował, że „pani Wanda cości zanadto z tym swoim kuzynkiem“. Ale my wiemy przecież wszyscy, że pani jest zawsze zakochaną żoną. To tylko żart! Jednak, wie pani, że ja, gdybym tak miała już kogoś nieodstępnego — tobym wolała weselszego. Sama jestem wesoła, i niecierpię koło siebie znudzonych twarzy. Najlepiej wszystko brać z dobrej strony. Ja przecież także nieraz mam jakąś przykrość, czy niepowiedzenie — naprzykład teraz, śmierć Mopka. Inna toby się zaraz tem gryzła. A ja, to jak ta gęś, co z wody wyjdzie, pióra strzepnie i już sucha. Mój Staś byłby skłonny do melancholji, ale ja mu nie daję. Od tego żoną jestem, aby mężowi życie uprzyjemnić, prawda? Nie tak, jak naprzykład Lutyńska, która jest nudna, że mąż z nią wytrzymać nie może...“

Z całego gadania Znajeckiej jedno utkwiło w myśli Wandy: „Husło mówił, że pani Wanda cości zanadto z tym swoim kuzynkiem“. I owszem, niech pogadają! To dowód, że jeszcze o niej mówić można. Niech pogadają — niech i do Karola dojdzie. On jest taki bezpieczny, taki pewny siebie — niechby się choć trochę zaniepokoił.

A nawet — gdyby tam „coś“ było? Nic złego, broń Boże! Tylko, tak sobie coś... trochę.., Trochę tego podziału myśli, trochę tego porozumienia się i przyjaźni, której mąż nigdy jej nie dał — trochę tego serca, do którego tak tęskniła, trochę tego wspólnego wzlotu ponad realizm życia — trochę poezji. O, gdyby...

W tem nic złego nie było. Mężowi pozostanie wierną, to pewno. A on, prócz wierności, nie ma prawa czegoś więcej żądać. Gdyż sam — cóż jej dał?

Tego dnia, ubierając się do obiadu, staranniej niż zwykle ułożyła swe piękne włosy i wpięła

w nie wyjętą z bukietu żółtą różę. Stała przed lustrem, z wysoko podniesionemi rękami, układając kwiat wsród ciemnych zwojów — i nie słyszała, jak przez przymknięte drzwi wszedł wcześniej niż zwykle Karol. Stał chwilę za nią i patrzał. I nagle go porwała wielka dla niej czułość. Znienacka objął ją i chciał pocałować.

Ona krzyknęła przestraszona, odskoczyła daleko — wyciągnęła przed siebie ręce jak dla obrony.

— Wando... Wando... przecież to ja — przecież to ja...

Chowała twarz w dłonie, i dreszcz po niej przechodził. Karol zbliżył się, wziął jej ręce. „Co to jest, Wando?“

— Nic, nic — przepraszam... to nic... Przelękłam się... nie słyszałam...

Dała się teraz pocałować ze zwykłą obojętną, ale uprzejmą uległością. Lecz drżenie wstrząsało nią jeszcze — i żółta róża chwiała się lekko w jej włosach.

W połowie lipca, do Karolostwa przybyła na parę dni Julka, w przejeździe ze wsi do Warszawy, skąd wraz z mężem jechać miała za granicę. Jej bystre oczy prędko dostrzegały to nawet, co dla zwykłego wzroku było jeszcze tajemnicą. „Słuchaj“ — rzekła do Wandy nazajutrz po przyjeździe — „ty się w tym Lutku kochasz“.

— „Ja!“ — krzyknęła Wanda. I stanęła cała w ogniach. Zdawało się jej, że jakaś bezwstydna ręka zdarła z niej szaty, i że stoi teraz naga, wystawiona na hańbę.

— Jeżeli się dziś jeszcze nie kochasz, to się zakochasz jutro. To fatalność, której nie unikniesz. Jednoby mogło cię od tego uchronić — to wielka miłość dla męża — ale ta już znikła, a raczej zmieniła się w jakiś żal do niego, o różne rzeczy, których się po nim spodziewałaś, a których on ci nie dał.

— Skąd ty wiesz?

Ach, moja droga! to taka zwykła historja! Któraż z nas znajduje w mężu to, czego szukała? Tylko, że przeważnie jesteśmy filozofkami — nie znalazłszy, mówimy sobie: nic — to się obejdzie. I zwracamy się do czego innego. A ty masz taką naturę, że nigdy się nie zrezygnujesz, i cała twoja dawna miłość zamienia się w zażalenie — może i w bunt.

— Może — ale cóż to ma do Lutka?

— „To, że byłabyś rybą, którą nie jesteś, gdybyś w tym stanie duszy i serca, i w tym wieku — najniebezpieczniejszym dla kobiety! — pozostała jak z drewna wobec ładnego chłopca. E! co tam będę ci tłumaczyła! niby to sama nie rozumiesz?

— Słowo ci daję, że nie. Masz rację w tem co mówisz o Karolu, kochałam go do szaleństwa, chciałam być mu wszystkiem na świecie, chciałam w nim wszystko dla siebie znaleźć. No, nie udało mi się, to prawda. Może i mam żal do niego. Ale zatem nie idzie, abym się miała zaraz w innym zakochać. O, nigdy, dość mam tej ich miłości!

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. Jan Kasprowicz, *Salve Regina* i *Moja pieśń wieczorna*. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połanieckiego, Lwów 1902.

Utwory zawarte w wymienionych powyżej książkach oglądają światło dzienne już nie po raz pierwszy. Wszystkie ukazywały się już bądź w czasopismach, — jak „Dies irae“ i „Salome“ w „Życiu“ a „Salve Regina“, „Hymn do św. Franciszka z Assyżu“ lub „Judasz“ w „Chimerze“ — bądź nawet w książkach np. „Na wzgórzu śmierci“, które wyszło w ostatnim zbiorku

poezji Kasprowicza. Pisano już dużo o tych rzeczach z okazji pierwszego ich wydania, oraz wygłaszania ich na zebranich publicznych np. „Marja Egipcjanka“.

Obie książki, tak jak one dziś leżą przed nami, kwalifikowały by się do obszernego i zajmującego studjum na temat poezji w ogóle, a poezji p. Kasprowicza w szczególności. Wogóle, bo stanowią do pewnego stopnia przykład generalny, *paradigma* tego, co się w najnowszym ruchu piśmienniczym polskim za poezję uważa. Jest to uznany powszechnie za najwyższy objaw „absolutu“ powcielanego w rozmaite wierzenia, wypadki biblijne, ale żeby się tak wyrazić zmodernizowane. Autor nie stara się przeżyć ich, jak je naiwnie pismo święte i tradycja podają; pewien lokalny koloryt, nazwiska i to, co się tam dzieje, to tylko dekoracja. W treści swojej to właściwie tylko analogje wyszukane tak daleko dla wtopienia w nie uczuć i myśli, radości i cierpień dzisiejszego człowieka wraz ze wszystkiem, co go dzisiaj otacza i co nań wpływa z tego otoczenia. Mieści się tam więc i kultura dzisiejsza i narodowa odrębność i wszystkie te rzeczy, których rezultatem jest dusza dzisiejszego człowieka, jak gdyby dla pouczenia, że „absołut“ w swoich objawach po za przypadkowemi cechami nie zna przedziału czasu ani przestrzeni, że i dzisiaj można przeżywać samoistnie „Golgoty“, cierpieć i pragnąć po „staro-egipsku“ itd. Ten najwyższy zdaniem „młodych“ postulat prawdziwej poezji przenikający te dwa tomiki, stanowi też obok biblijności zasadniczą cechę poezji Kasprowicza, od czasu gdy we wspomnianym poprzednio ostatnim zbiorze swoich poezji, zamieścił był wiersz: „Byłeś mi niegdyś bożyszczem o tłumie!“ Na końcu tego zbioru znajdowało się „Na wzgórzu śmierci“, najstarszy z utworów, zamieszczonych w książkach wymienionych obecnie. Stanowi on przełom w poezji Kasprowicza, która odtąd nie opuściła już ani na chwilę drogi, rozpoczętej tym utworem, a różniącej się od dawnej tak zupełnie, że kto kochał p. Kasprowicza za tamtą, tego zostawia obojętnym ta i na odwrót. Zaznaczenie tej stałości nowego kierunku miał też ubocznie na celu i sam autor.

Wydane są oba tomiki wspaniale, na grubym czerpanym papierze, formatu podługowatego z błękitnemi listwami na górze. Oprócz tego tomik „Moja pieśń wieczorna“ zdobi doskonała heljograwura z portretu autora, wykonanego olejno przez jednego z najlepszych naszych współczesnych portrecistów p. Damazego Kotowskiego. *St. W.*

Zakłady lecznicze dla umysłowo chorych w oświetleniu najnowszych zdobyczy naukowych. Napisał dr. Mieczysław Nartowski. Kraków 1902.

Książka, napisana z widoczną pretensją do uczoności, nie podaje tak dalece „najnowszych zdobyczy“ a w przeważnej części jest jakby wycinkiem ze wstępu do dzieła, traktującego o chorobach umysłowych. Autor zapoznaje nas tu z historją psychiatrji, która rzeczywiście zawiera wiele ciekawych i wzruszających epizodów.

Więcej jednak zainteresować może druga, mniejsza część dziełka, gdzie autor przechodzi do aktualnych stosunków galicyjskich, maluje poświęcenie i wielkie przeciążenie lekarzy w zakładach dla obłąkanych, bierze ich w obronę przeciw podnoszonym zarzutom zaniedbywania opieki nad chorymi, poruczonymi ich nadzorowi i usprawiedliwia zdarzające się w naszych lecznicach nieszczęśliwe wypadki. Psuje efekt rozumowania niepotrzebny patos i aluzje polityczne, w fachowej pracy całkiem zbyteczne. Musimy tu nawet uspokoić autora, że nikt, o ile nam wiadomo, u nas nie przypisywał winy lekarzom za wypadki nagłej śmierci obłąkanych, przeciwnie powszechnie wytykano jako przyczynę złego małą liczbę i niedostateczne wyszkolenie służby, przepełnienie zakładów chorymi i inne niedostatki, co autor powinien uznać za zasługę prasie. Z drugiej zaś strony nawet zbyt gorliwe żądanie wyjaśnień w przypadkach nieszczęśliwych nikogo gorszyć nie może, bo przecież nic w tem dziwnego, że opinja publiczna niepokoi się o los chorych, trzymanych w zamknięciu a czasem schodzących ze świata z połamanemi żebrami.

Dr Nartowski oręduje za zbudowaniem dwóch zakładów leczniczych dla umysłowo chorych, mianowicie jednego zakładu w zachodniej, drugiego we wschodniej części kraju, lecz na poparcie tego żądania nie przytacza niczego, coby już w prasie perjodycznej nie było szczegółowo wykazanem.

Bądź co bądź dziełko pojawia się w porę, gdyż propozycje Wydziału krajowego w sprawie rozszerzenia Zakładu Kulparkowskiego natrafiły zewsząd na poważne zarzuty tak z kół fachowych, jak w pismach politycznych, gdy zaś propozycyj tych Sejm jeszcze nie załatwił, należałoby je odpowiednio zmienić. Tego domagaliśmy się już w naszem także piśmie a głos d-ra Nartowskiego przybywa nam tu, jako dalsze poparcie naszych wniosków. *M.*

Ohyda wieku przez Antoniego Wysłoucha. Warszawa 1902.

W dziełku tem, które jest odbitką szeregu artykułów zamieszczonych w *Krytyce lekarskiej* omawia autor sprawę prostytucji a raczej sprawę losu prostytutek, mając na uwadze szczególnie stosunki miasta Warszawy. Jest to niewątpliwie jedna z piekących kwestyj współczesnych, a przedstawia problemat nader trudny do rozwiązania, gdyż wchodzą tu w grę rozliczne względy społeczne, zdrowotne i obyczajowe, nie dające się w praktyce tak łatwo uregulować. Co do zagadnień, odnoszących się do prostytucji zachodzi nadto ta ogromna trudność, że gdy wszelkim innym przejawom życia społecznego prasa poświęca baczną uwagę i przez dyskusję publicznego toruje drogę nowym poglądom i przygotowuje grunt dla pożądanych reform, prostytucja, mimo że jest niemałą klęską, uważana bywa za *noli me tangere,* za temat nie nadający się do omawiania w dziennikach. Prasa boi się dotknąć tej rany, by nie urazić przesadnej wstydliwości pewnych sfer z pośród czytelników. A jednak sprawa domaga się wyczerpującego traktowania i zaczyna nareszcie przedostawać się do łamów pism perjodycznych. Porusza ją między innemi *Nowe Słowo,* pismo dla kobiet, wychodzące w Krakowie. Niezadługo może stanie na porządku w prasie codziennej, gdyż w wiedeńskiej Radzie państwa weszły w tym przedmiocie wnioski i interpelacje.

P. Antoni Wysłouch wykazuje statystycznie ogromną nędzę, ciemnotę i zaniedbanie, które popychają dziewczęta do prostytucji. Jest między niemi 87·5% sierot, 79·6% analfabetek, 83·5% pochodzi z ubogich rodziców, 67·5% jest małoletnich. Życie ich jest nad wszelki wyraz nieszczęśliwe, straszne, a gdy raz potoczą się ku temu rzemiosłu, nie mają drogi wyjścia, czeka je nędzna śmierć a przed tem bezlitośna pogarda i brak wszelkiego współczucia, brak pomocnej ręki. Przymusowe zarejestrowanie w policji i oględziny policyjno-lekarskie zawierają za niemi raz na zawsze wrota i już, choćby chciały, nie zdołają się wydźwignąć z poniżenia i występku.

Za granicą istnieją liczne przytułki i towarzystwa, które zajmują się ratowaniem' tych nieszczęsnych, upadłych istot, u nas brak wielki podobnych humanitarnych instytucyj. Głównym też celem autora jest zwrócić uwagę na potrzebę i pożytek takich zakładów i zachęcić do ich tworzenia.

Cel istotnie godny poparcia.

PISMA. *Lud,* organ Towarzystwa ludoznawczego we Lwowie, tom VIII. zeszyt 4.

Omawiany zeszyt rozpoczyna się rozprawą raczej popularyzatorską, niżli naukową, mającą za zadanie w krótkich słowach nakreślić „Zwyczaje, zabawy i zabobony ludu słoweńskiego w południowej Styrji“. Rzecz ta, napisana umiejętnie przez p. P. Miklaveca, spełnia dobrze swoje informatorskie zadanie, bo zapoznaje czytelnika z najgłówniejszymi punktami słowiańskiej folklorystyki. — Drugi z kolei artykuł tyczy się również folkloru niepolskiego, bo w nim zaznajamia p. R. Lilientalowa z „Życiem pozagrobowem i światem przyszłym w wyobrażeniu ludu żydowskiego“. —Dokończenie pracy p. J. Świętka p. t. „Z nad Wisłoka, rysy etnograficzne ze wsi Białobrzegi“, zajmuje się omawianiem pojęć ludowych o istotach nadprzyrodzonych oraz złączonych z niemi zabobonów, a nadto medycyny ludowej. Praca ta prawdziwie wartościowy stanowi zabytek dla naszej etnograficznej literatury. — Drobny przyczynek p. W. G. Badury p. t. „Naśladowauie głosu zwierząt“ przynosi grudkę wiadomości przeważnie nowych. — Interesującą rozprawą jest praca p. Sz. Matusiaka „O Piaście“, w której autor, zebrawszy obfity materjał językowy, udowadnia, że imię Piast powstało przez skrócenie imienia Pieścisław, a dawniejsze wytłómaczenia tego imienia są błędne. — Równie gruntownie opracowane zostały „Pieśni ludowe z Dobczyc“ przez p. H. Windakiewiczową, zwłaszcza ciekawe są niektóre melodje, jakie autorka skrupulatnie zapisała. — Ponadto znajdujemy w dziale rozpraw dwie pomniejsze. — J. Fr. Magiery „Przezwiska rymowane do imion“, oraz J.Witorta „Opowiadania z Poniewieża“. Dział „Rozmaitości“ jest dość skąpy w tym zeszycie, zawiera bowiem zaledwo cztery przyczynki. Za to nader bogato reprezentowany jest dział recenzyjny, w którym napotykamy jedenaście ocen dzieł folklorystycznych lub mających związek z ludoznawstwem. Zeszyt kończą „Sprawy Towarzystwa“. *w. i.*

SZTUKA. *Wydawnictwo Towarzystwa Polskiej Sztuki Stosowanej.* Materjały. Nr. 1. Kraków 1902. Nakładem Towarzystwa. — Towarzystwo „Polska sztuka stosowana“, zawiązane w Krakowie dnia 8. czerwca 1901 roku, ma — jak wiadomo — na celu wprowadzenie nowej sztuki do dzisiejszego przemysłu i budownictwa, a chcąc wytworzyć nastrój swojski dla twórców na tem polu, gromadzi objawy sztuki ludowej i zabytków dawnego polskiego przemysłu artystycznego. Dla tych, którzy bezpośrednio z prac i zbiorów Towarzystwa korzystać nie mogą, Towarzystwo rozpoczyna zeszytem niniejszym wydawnictwo materjałów artystycznych. Zamierzając w przyszłości odtwarzać obok materjałów także pomysły nowe, współczesne, będzie Towarzystwo rozwijało podjętą ideę w miarę środków, nie stawiając sobie z góry żadnych granic ani wymagań ściśle określonych, kierując się natomiast wzrostem sprawy i rozwojem istotnych potrzeb sztuki i przemysłu.

Pierwszy zeszyt wydawnictwa przedstawia się istotnie bardzo pięknie i zajmująco. Daje on na siedmiu tablicach (prócz okładki ozdobionej wzorem ze skrzyni krakowskiej zaczerpniętym) szereg reprodukcji przedmiotów, zamieszczonych w swoim czasie na pierwszej wystawie młodego Towarzystwa. Są to już to cynkotypje (według fotografji Kriegera z Krakowa i Dobrzańskiego w Warszawie), już to fotodruki trójbarwne, już to wreszcie litografje. Pierwsze wykonał zakład C. Angerera w Wiedniu, drugie zakład Husnika w Pradze, trzecie zakład litograficzny C. Ciosłowskiego w Krakowie. Większość przedmiotów, zamieszczonych w tym pierwszym zeszycie sympatycznego wydawnictwa opisał w swoim czasie w „Tygodniu“ archit. K. Mokłowski. Spotykamy tu więc: stół wykładany cisem, ciekawą drewnianą solniczkę oraz czerpak z powiatu nowotarskiego, łyżnik zakopiański, dalej czerpak i szereg niezmiernie oryginalnych uszek do czerpaków z Beskidów (Ślązk austrjacki), dalej malowaną skrzynię włościańską z Istebnej (tamże) i malowane również łóżko ze wsi Przewóz (pow. wielicki), dalej kilka arcyciekawych i pięknych „wystrzyganek“ papierowych z Łowickiego i Lubelskiego a wreszcie motyw zakończenia pasa z fabryki w Lipkowie (Paschalisa), który z oryginału malował J. Czajkowski. Z niecierpliwością należy wyglądać dalszych publikacji tak pięknie zapowiadającego się wydawnictwa i życzyć mu, żeby ono jak najprędzej przystąpiło do zapowiedzianego działu współczesnych usiłowań twórczych.

A. C.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8